

PAUza

Akademicka



Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności

Nr 33/34 Kraków, 9-16 kwietnia 2009

O Programie Rozwoju Polskiej Humanistyki

Jakie działania uważam za priorytetowe w sferze humanistyki? To ważne i wielkie pytanie.

Sądzę, że zadania dla współczesnej polskiej humanistyki muszą zostać zdefiniowane od nowa z uwzględnieniem doniosłego faktu wejścia Polski do Unii Europejskiej w r. 2004. Stanęliśmy w obliczu bezpośredniej konfrontacji z innymi społecznościami, językami i kulturami, musimy odpowiedzieć sobie i innym, kim jesteśmy jako społeczność narodowa, co stanowi o naszej odrębności i wspólnotowej tożsamości, co jako Polacy mamy do powiedzenia, zaoferowania innym, w czym jesteśmy słabi, w czym dobrzy, w czym może – najlepsi?

Na te pytania nie mamy dobrej odpowiedzi i nie możemy dać jej od ręki, na zamówienie. Odpowiedź będzie się rodzić, będziemy do niej dochodzić stopniowo, sprawdzając siebie, próbując, szukając permanentnie i to przez dłuższy czas, bo kontekst cywilizacyjny jest dynamiczny, stale się zmienia. Musimy rozpoznać wartości, które jako społeczność nie tylko deklarujemy, ale też realnie практикуjemy, czeka nas konfrontacja z sąsiadami w zjednoczonej (jednoczącej się) Europie, którzy są inni, często lepsi od nas (co przyjmujemy do wiadomości z trudem).

Już w czasie dyskusji w PAU 22 listopada 2008, odnosząc się entuzjastycznie do propozycji przedstawionej przez prof. Andrzeja Białasa, pozwoliłem sobie przypomnieć, że na pytania o treści i wartości polskiej kultury w przededniu akcesji do UE próbował odpowiedzieć Kongres Kultury Polskiej w r. 2000, a wcześniej stawił je zespół wrocławski prof. Czesława Hernasa i prof. Mieczysława Klimowicza, koordynujący program pod nazwą „Polska kultura narodowa, jej tendencje rozwojowe i recepcja”. Wracam myślą do tego programu dlatego, że z perspektywy czasu doceniam zalety przyjętej wtedy formuły, która odpowiadała idei „federacji grantów”. Do bliskich mi zadań szczegółowych, wspieranych przez biuro wrocławskie, należały dwa długofalowe przedsięwzięcia słownikowe: „Słownik języka Norwida” i „Słownik ludowych stereotypów i symboli” (oba niedokończone, niestety), które z założenia miały pokazać dwie wyrazistości skryształizowane (a przy tym silnie skontrastowane) orientacje w polskiej kulturze, dwie formacje kulturowe – inteligentną i ludową, obie ważne dla naszej dzisiejszej tożsamości narodowej, która jest poliwalentna. Tradycja ludowa silniej łączy nas z naszymi sąsiadami (Słowianami i nie tylko) niż nasza tradycja szlachecka, ziemiańska, inteligentna, czy tzw. literatura „wysoka”, elitarna, oświeceniowa „kompleksem polskości”, w dużym stopniu nieprzetłumaczalnym na inne języki i kultury.

Obecnie za priorytet uważam rozpoznanie i zdefiniowanie podstawowych wartości naszej kultury na możliwie szerokim tle porównawczym, ponadnarodowym, z uwzględnieniem jej wszystkich obiegów, od „wysokiego” do „niskiego”, na tle ujawniających się różnic w między Wschodem i Zachodem Europy. Potrzebne jest określenie, co składa się na fenomen polskości na tle Europy. W tym programie mieścić się powinny także niekonfesyjne, tj. niezależne od Kościoła (wolne od instytucjonalnych nacisków) badania nad naszą religijnością, jej cechami narodowymi i uniwersalnymi.

Za potrzebne uważam analizy języka w jego różnych sferach użycia, badania kultury życia codziennego, mentalności potocznej, a także diagnozy dotyczące sposobów komunikacji publicznej (w prasie, telewizji i nowych mediach elektronicznych, w Internecie). Stan polskiego dyskursu publicznego jest katastrofalny, mamy do czynienia z pustosłowiem, nadużyciami, utratą wiarygodności. Kryzys ma podłoże aksjologiczne, jego przejawy powinny być nieustannie badane i diagnozowane, z myślą o poprawie sytuacji. Wielką rolę miałyby do odegrania w zakresie edukacji społecznej (w tym szkolnej) dobrze opracowane leksykony, sięgające do historii naszej myśli społecznej, filozoficznej i politycznej. Niemcy po traumie nazizmu ratowali się wydając monumentalny, 8-tomowy słownik Reinharta Kosellecka i in. pt. *Geschichtliche Grundbegriffe. Historisches Lexikon zur politisch sozialen Sprache* (ostatnie wydanie Stuttgart 2004). Podobny historyczny polski słownik aksjologiczny mógłby stanowić pomoc w kształtowaniu dyskursu publicznego i kultury politycznej.

Widzę w tym zakresie potrzebę współpracy indywidualnych osób, środowisk naukowych i instytucji publicznych. Problemem jest formuła organizacyjna, która powinna sprzyjać tworzeniu otwartej sieci badawczej w skali krajowej i koniecznie międzynarodowej.

Częścią integralną programu dla humanistyki powinna być odpowiednia polityka stypendialna (państwowa i społeczna, pozarządowa) z preferencjami dla wybranych tematów, sprzyjających rozwojowi kultury i utrwalaniu szeroko rozumianej tożsamości.

Ośrodek koordynujący powinien być bliższy środowiskom uniwersyteckim i akademickim niż ministerstwu i kręgom politycznym, powinien jednak mieć dostęp do funduszy państwowych.

JERZY BARTMIŃSKI
Lublin, 28 lutego 2009

Wypowiedzi w dyskusji o polskich czasopismach naukowych

Wielce Szanowny Panie Prezesie,

W odpowiedzi na list w sprawie „polskich czasopism naukowych”, pozwalam sobie przedstawić swoją opinię na ten temat. Moja dziedzina naukowa to nauki o Ziemi (głównie geofizyka, ale także geologia)

Problem 1: Liczba polskich czasopism naukowych jest wystarczająca, chociaż są dziedziny, w których można byłoby ją nieco zmniejszyć, zwiększając tym samym konkurencyjność pozostałych, co niewątpliwie wpłynęłoby na podniesienie poziomu piśmiennictwa naukowego w tym zakresie. Aby dokonać takiej selekcji, należałoby sformułować stosowne kryteria wyboru.

Problem 2: Tak, oczywiście, należy publikować głównie, a czasem wyłącznie w języku angielskim, i za wszelką cenę należy zabiegać o publikacje autorów zagranicznych, szczególnie autorów o wysokiej i uznanej pozycji naukowej, co nie jest łatwe.

Problem 3: Niestety, przy aktualnym poziomie nauki w Polsce, nie da się utrzymać czasopism naukowych bez dotacji budżetowych.

Problem 4: Owszem, należy zabiegać i zachęcać polskich autorów, szczególnie tych o wysokiej pozycji międzynarodowej, do publikowania także w czasopismach polskich. W żadnym jednak przypadku nie wolno podnosić, z tego właśnie powodu, kategoryzacji polskich czasopism! Niestety już teraz obserwuje się tego rodzaju praktyki, gdy obniża się punktację dla publikacji w znanym i uznanym czasopiśmie międzynarodowym, podnosząc równocześnie punktację dla czasopisma polskiego, bez uzasadnienia. To jest niedopuszczalne!

Problem 5: Publikacje w języku polskim w czasopiśmie lokalnym są potrzebne, ale tylko jako dokumentacja aktywności naukowej danego ośrodka i wstępny etap przygotowania właściwej publikacji. W tym znaczeniu jest to tylko drugiego rzędu dorobek naukowy, który w ocenie całokształtu dorobku autorskiego lub instytucji winien być wyraźnie umieszczany oddzielnie.

Z wyrazami szacunku,

Aleksander Guterch
Wydział IV PAU

Polemika

Nadrabiając zaległości w czytaniu przewertowałem ostatnio wszystkie wypowiedzi na temat czasopism naukowych zamieszczone w *PAU-zie Akademickiej*. Dwie z tych wypowiedzi, a mianowicie Panów Profesorów Macieja Żylicza [*PAUza* 14] i Adama Łomnickiego [*PAUza* 24], zbulwersowały mnie szczególnie. Zatem do nich jedynie ograniczę moją polemiczną wypowiedź, odrzucając tym samym tezę (?) p. prof. A. Łomnickiego o potrzebie zachowania bezpieczeństwa przez unikanie polemiki. Otóż ja wypowiedzi obydwu Panów Profesorów nie tylko kwestionuję, ale uważam je za szkodliwe, a nawet poniżające dla polskiego środowiska naukowego. Pana prof. M. Żylicza znam osobiście od dawna. Również od dawna są mi znane Jego radykalne poglądy. Mogę zatem jedynie stwierdzić, że niektóre z nich Pan Profesor zechciał doprowadzić do poziomu absurdu. Nie czym innym bowiem, jak absurdem, jest propozycja zamknięcia wszystkich polskich czasopism naukowych z niemal wszystkich dziedzin. Idąc dalej tym tropem można zaproponować zamknięcie wszystkich polskich wyższych uczelni, z Uniwersytetem Jagiellońskim włącznie, bowiem są na świecie liczne lepsze uczelnie, dające łatwy start do kariery. Nie chcę nawet myśleć dokąd można dojść podążając tym tropem rozumowania. Nie sądzę także, by potrzebna była w tym względzie jakakolwiek polemika. Wystarczy kategoryczne zaprzeczenie. Chciałbym jedynie by Pan Profesor Maciej Żylicz zechciał wskazać rozwinięte państwo świata, pozbawione własnych czasopism naukowych.

Pan Profesor Adam Łomnicki jest nieco łagodniejszy, choć raczej niejednoznaczny w swojej ocenie. Polemizuję zatem jedynie z twierdzeniem, że najlepsze polskie czasopisma naukowe trzeba oddać w ręce „znanemu międzynarodowemu wydawnictwu, które może te czasopisma jeszcze bardziej upowszechnić”. Pisz Pan

Profesor o ogromnym wysiłku wkładanym przez redakcję najlepszych czasopism, a następnie proponuje Pan przekazanie rezultatów tego wysiłku w cudze ręce. Dlaczego? Czy dlatego, że jesteśmy niezdolni do osiągnięcia wyżyn? Posłużę się przykładem *Acta Palaeontologica Polonica*, które Blackwell usiłował wykupić, stanowiąc one bowiem konkurencję dla *Palaeontology*. Czy nie spostrzegł Pan co stało się z setkami polskich przedsiębiorstw, sprywatyzowanych przez zagraniczne spółki kapitałowe, produkujące towary z danej branży? Książka i czasopismo naukowe to także towar, który może zniknąć z rynku.

Polska nauka nie jest najwyższego światowego lotu. Z pewnością jednak drogą do podniesienia jej jakości nie jest zamykanie najlepszych czasopism naukowych lub oddawanie ich w pacht po tym, jak wysiłkiem wielu ludzi zostały wydzwignięte na zauważalny poziom międzynarodowy. Sposób na podniesienie jej jakości jest od dawna znany, ale nigdy w Polsce nie zrealizowany: porządne finansowanie.

Istnieje również pojęcie patriotyzmu. Słowo to dzisiaj niemodne, a nawet w Polsce wstydlive, nie jest takim w Japonii, Niemczech, Wielkiej Brytanii, a szczególnie w uwielbianych przez większość Stanach Zjednoczonych. Ja również się go nie wstydzę. Obywatele krajów, w których patriotyzm jest czynnie uprawiany, promują wszystko to, co własne i godne promowania. Wyniki takiego patriotyzmu są oczywiste we wszystkich dziedzinach życia, a światowa pozycja tych krajów również.

Na koniec dwa cytaty z wierszy **rodzimych** poetów: „Cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie, co posiadacie” i „Polsko, pawiem narodów byłaś i papuga”. Paw już chyba bezpowrotnie odleciał. Czy Polska ma pozostać jedynie papugą?

JERZY FEDOROWSKI
Uniwersytet im. Adama Mickiewicza
Poznań, 28 marca 2009

Aktor i współczesność

Świat się zmienia, a wraz z nim zmienia się teatr.

Podczas stanu wojennego – mówię o tym okresie, bo to czas mojej młodości, wchodzenia do zawodu – czy wcześniej w PRL-u, misją aktora było mówienie ludziom o tym, że jesteśmy Polakami. Recytowano poezję narodową: Słowackiego, Mickiewicza, Norwida. Misją było odważne mówienie o potrzebie wolności.

Wielu pyta, jaką w naszej rzeczywistości misję ma aktor, który nie musi walczyć o Polskę, nie musi występować w kościołach, ryzykując aresztowanie? Aktor nie jest już tym, który ma reprezentować naszą godność, wierę w przetrwanie narodu i ojczyzny.

Co jest moją misją teraz? Myślę, że badanie zachowania, obserwacja ludzkich reakcji i ich pokazywanie. Po to jesteśmy aktorami, by – jak powiedział Szekspir – dawać zwierciadło naturze. Tak rozumiem moją misję. Muszę widzieć, jak ludzie się zachowują, jak się zmieniają, jacy są okropni, dobrzy, piękni, badać przestrzenie międzyludzkie: jak się do siebie odnosimy, jak rozmawiamy. Taka misja jest może ważniejsza, bo trudniejsza i mniej efektowna od tej buntowniczej. To, przeciwko czemu musimy występować, pojawia się między ludźmi. W związku ze zmianami zewnętrznymi – społecznymi, ustrojowymi, rewolucją w technice i, co za tym idzie, w sposobach komunikacji – zaszły przecież ogromne zmiany w człowieku.

Obowiązkiem aktora jest badanie zachowań. Istnieje różnica między faktem, że siedzimy przy stole i jemy obiad, a przedstawieniem tego samego w teatrze, wobec ludzi. Wystarczy ją dostrzec i badać. Muszę wiedzieć, po co to robię i co chcę pokazać.



Krzysztof Globisz:

– *Misją aktora jest badanie zachowania, obserwacja ludzkich reakcji i ich pokazywanie.*

Fot. Anna Kaczmarz

Fascynuje mnie to przejście, manipulowanie własnymi gestami, odruchami – które wykorzystuję na scenie – poszukiwanie, uświadamianie sobie własnych zwyczajów czy odruchów i kopiowania ich dla teatru. Oczywiście, nie można pozbawić się własnych emocji, a takie niebezpieczeństwo istnieje. Jeżeli miesza się – mówiąc językiem Stanisławskiego – proces przygotowania (czyli zapamiętywania) i proces realizacji (czyli eliminacji, zapomniania), nigdy nie powstanie dzieło sztuki. Świat się zmienił, a człowiek postępuje irracjonalnie. Nasz wewnętrzny stan odzwierciedlają zmieniające się warunki klimatyczne.

Nie wiem, co jest pierwsze: czy nasze energie uruchamiają huragany, czy odwrotnie.

Ogarnęła nas – współczesnych ludzi i współczesnych aktorów – niezwykła samotność. Czym jest dla mnie samotność? To, na przykład, upadek, odejście Starego Teatru. Przyszedłem do tego miejsca w momencie, gdy istniał jeszcze mīt Starego Teatru, i grałem zastępstwa w *Dziadach* i *Nocy listopadowej*. Wówczas rozumiałem, że aktor nie jest samotny na scenie. Potem powstało kilka niezwykle ważnych dla mnie spektakli, m.in. Jerzego Jarockiego, choćby *Życie jest snem*. Samotność jest pewną stałą, ale wówczas byliśmy w niej niejako razem, bo tworzyliśmy coś wspólnie. Potem znacznie częściej zauważałem, że jestem samotny, bo muszę zrobić coś, co należy tylko do mnie – i nie ma wpływu na partnera.

Jako pedagog i – obecnie – prorektor krakowskiej Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej zauważyłem, jak bardzo zmieniło się pojęcie etyki w naszym zawodzie. Pytania: kim stał się aktor w dzisiejszym społeczeństwie, jaka jest jego rola, jaka jest rola teatru powracają do nas coraz częściej. Co więcej, obserwując samego siebie w teatrze czy w uczelni, stwierdziłem, że muszę powrócić do pewnych podstawowych wątpliwości. Czy jestem członkiem jakiegoś zespołu, a jeżeli tak, to jakiego? Przecież kolegów współpracujących stale z naszym teatrem jest coraz mniej, najczęstszym sposobem pracy stało się zagranie jednej roli, angaż na jeden-dwa sezony. Czy w tym momencie tworzy się zespół? Czy jest on w ogóle potrzebny? Czy lojalność, jakiej nas wobec niego zawsze uczono, która polega między innymi na tym, że nie mówi się źle o swoim teatrze, nadal obowiązuje? A przecież tylko zespołowa praca prowadziła do powstawania wielkich dzieł, które zmieniały oblicze sztuki. Nie mówię o oczywistych przykładach klasyków teatru, ale całe lata 1970. – to była praca zespołowa. Zaczynam zastanawiać się, czy jestem zobowiązany do lojalności wobec teatru, w którym coraz mniej gram, a jeśli w czymś gram – to wydaje mi się to nie najbardziej istotne. Patrzyłem i patrzę na spektakle w naszym teatrze i widzę jego śmierć, bo każdy opowiada tylko swoją historię.

Wszystkie głębokie metamorfozy, o których mówię, zaczęły się w XX wieku. Ludzka kondycja, w moim rozumieniu, bardzo zmieniła się w procesie, jaki zaczął się wraz z I wojną światową. Nie wolno nam nie wyciągać konsekwencji z tego, że duszono gazem ludzi siedzących w okopach, że zakładano obozy koncentracyjne. Jeżeli aktor nie wyciągnie z tego konsekwencji dla swojej pracy, jest kretynem. A czas aktorów-kretynów się skończył.

Obecność aktora na scenie powinna wiązać się przede wszystkim z sensem. Sens interesuje mnie najbardziej – nie możliwość popisu lub ranga literatury. Sam łapię się na tym, że dla pieniędzy albo z głupoty coraz częściej robię rzeczy marne. Coraz rzadziej mój teatr wykorzystuje mnie do wydobywania potężnego sensu.

Zmienia się – bo musi się zmieniać – kształcenie aktorów. Rewolucja w uczeniu studentów nie może polegać na tym, że przestaniemy ich uczyć tego, czego uczono przez kilkaset lat. Ale zastanawiam się, co dalej?

Jeżeli wokół obserwujemy cyberyzację, sztampowanie, usztuczniczenie życia – aktorstwo ze swoim człowieczeństwem ofiarowywanym widzowi wydaje się archaiczne. W tym upatruję siłę dziedziny sztuki, którą uprawiam. Pojawia się jednak niebezpieczeństwo: dziś człowiek, a zwłaszcza aktor, nie może spokojnie umrzeć – jego życie nagrane jest w kilkudziesięciu wersjach. Pewnie kiedyś można będzie obsadzić aktora po jego śmierci, stwarzając cyborga, która zagra tak, jak zagrałby ów aktor – to przerażające.

(dokończenie – str. 4)

(dokończenie ze str. 3)

Mam też prostsze rozterki: będąc pedagogiem, gram w serialach. I mam wmawiać młodzieży, że seriale są niekorzystne dla ich warsztatu itp.? Mogę im uczciwie powiedzieć, że mnie, doświadczonemu aktorowi, taki styl pracy nie wyrządzi już krzywdy, a im – owszem – może. Mogę powiedzieć: „uważajcie, bo was stratuja”, ale czy będę wówczas wiarygodny?

Zmienia się relacja pedagog-student. Nie zapominajmy jednak, że to, co jest słuszne i potrzebne – czyli wskazywanie i piętnowanie pewnych nagannych zachowań – staje się polem do nadużyć. Inny, dużo istotniejszy problem, to obecność w teatrze ludzi niepełnosprawnych. Pewnie byłoby uczciwie powiedzieć, że osoby niepełnosprawne nie mogą studiować w szkole aktorskiej, ale na świecie funkcjonują niepełnosprawni aktorzy, a w praskiej szkole istniała grupa głuchoniemych. Nie mówię w tym przypadku o radykalnych rozwiązaniach, ale o próbie rozważenia pewnych kwestii. Nie można problemu zamiatać pod dywan, to również zagadnienia etyki. W świetle prawa nie wolno nam odmówić kształcenia niepełnosprawnych młodych ludzi. Może powinniśmy przestać traktować szkoły teatralne jako placówki, które mają kształcić ludzi pracujących wyłącznie w zawodzie aktora? Przecież współczesny rynek oferuje naszym absolwentom wiele innych możliwości. Zdaję sobie sprawę, że ów problem stanowi jednocześnie przejaw pewnej niedojrzałości, cechującej współczesne społeczeństwa – panuje przekonanie, że wszyscy mogą absolutnie wszystko. Nie dopuszczamy do siebie ograniczeń własnej natury.

Jestem przekonany, że pewne pytania należy sobie zadawać, nawet jeśli nie do końca potrafimy się z nich rozliczyć. Myślę, na przykład, o udziale w komercyjnych przedsięwzięciach. Nawet jeżeli robię coś poniżej moich możliwości, muszę wykonywać to z taką samą rzetelnością, jak role u Jerzego Jarockiego. Owa rzetelność wynika z uczciwości wobec widza, niezależnie od efektu całości. Jednocześnie postawa widza wobec aktora jest dzisiaj bardziej roszczeniowa, bo kulturę zastępuje tzw. rozrywka – oczekujemy rzeczy lekkich, łatwych i przyjemnych – tak, aby obcowanie ze sztuką za dużo nas emocjonalnie nie kosztowało. Ja, aktor, żądam od odbiorcy dialogu – jeśli coś mówię, chcę być wysłuchany i uzyskać pewną reakcję. Aktywność widza polega na zrozumieniu mojego przekazu, na pewnej refleksji.

Radością ucznia jest konieczność podejmowania wciąż nowych wyzwań. Dziś to szczególnie istotne – wokół funkcjonuje tyle estetyk, różnorodność gustów. Mam świadomość, że w Szkole, jako student i asystent, najwięcej nauczyłem się od ludzi, którzy wywodzili się z innego teatru niż mój, wyznawali inną estetykę: od prof. Danuty Michałowskiej i prof. Romana Stankiewicza. Zławsza zajęcia tego ostatniego były dla mnie męką: musiałem grać w sztukach George'a Bernarda Shawa, profesor ćwiczył mnie bezlitośnie, tonował moją bardzo wyrazistą ekspresję, temperament, emocje. Bardzo cenię profesor Michałowską za to, że nauczyła mnie spokoju, pewnej dystynkcji – mnie, który byłem ze szkoły Ewy Lassek, czyli inaczej pojmowałem dynamikę mowy.

Teatr w ciągu niemal trzydziestu lat mojej pracy zmienił się diametralnie. W ciągu tych lat obserwuję powolne odchodzenie od perfekcji w kierunku pewnego przypadku, niedokończenia: teatr nastawiony jest na ewolucyjną pracę, tzn. spektakl nie musi być od razu „zrobiony”. Bardzo mi się to niekiedy podoba, choć nie w takim teatrze zaczynałem. To istniało w sztuce zawsze, ale – moim zdaniem – nie w takiej postaci i nie na taką skalę. Zmieniły się rola i miejsce słowa. Jeszcze kilkanaście lat temu istniała ogromna dbałość o mówienie, o dykcję. Teraz aktorzy starają się mówić w manierze kinowej – czyli tak, jak w życiu. Nie mam nic przeciwko temu, ale widzę problem

w pewnym zaniechaniu. Gdyby aktorzy i studenci wiedzieli, że muszą mówić perfekcyjnie po to, by umieć bełkotać, ten bełkot miałby inną jakość. Sami pozbawiają się wielkiej przyjemności mówienia doskonale, bo uważają, że jest im to niepotrzebne. To błąd zaniechania.

Podczas mojej, ponad już trzydziestoletniej obecności w Szkole – najpierw jako studenta, potem pedagoga – dokonała się fundamentalna zmiana w rozumieniu spraw związanych z dykcją. Kiedy w 1976 r. przyszedłem do Szkoły, widziałem początek końca epoki niezwykle różnicowania mówienia scenicznego od mówienia naturalnego. Wtedy to się definitywnie zmieniło, co było związane z okresem, jaki Janusz Kijowski nieszczęśliwie nazwał kinem moralnego niepokoju. Termin jest trafny, filmy – zwłaszcza z dzisiejszej perspektywy – gorsze. Aktorzy, którzy występowali w owych obrazach, m.in. jeden z czołowych aktorów tego okresu Jerzy Stuhr, doprowadzili do rewolucji w mówieniu scenicznym. Wcześniej, w polskich filmach – bardzo bliskich temu, co się wówczas działo i nowoczesnych w formie, np. w *Popiele i diamentach* – aktorzy mówili bardzo teatralnie, bardzo wyraźnie i (w tym dobrym tego słowa znaczeniu) sztucznie, nawet Bogumił Kobiela czy Zbyszek Cybulski. Dopiero w połowie lat 70. nastąpił proces uprzedmiotowienia tego, jak mówią bohaterowie. Miało to wielkie konsekwencje dla teatru i Szkoły. Do dziś mówi się, że krakowska Szkoła mówieniem stała – mówieniem wiersza.

Zmieniły się techniki oświetlenia – brzmi to paradoksalnie, ale dźwięk jest związany ze światłem. Teatr zaczął przybliżać się do widowni – co dziś jest oczywiste, ale wtedy dopiero się kształtowało. Reżyserzy, np. Jerzy Jarocki, zaczęli anektować przestrzeń dotąd zarezerwowaną dla publiczności, budować pomosty etc. Wyrazistość stała się konieczna, nie ta techniczna, tylko intencyjna. Wykształciła się tendencja bardziej naturalnego mówienia. W tym momencie powstaje pewien problem: drogą do osiągnięcia naturalności nie jest zaprzestanie ćwiczenia, jest wręcz odwrotnie – musimy poddać się monstrualnym ćwiczeniom, doprowadzić swój aparat mowy do perfekcji. Paradoksalnie więc, ów zapoczątkowany w kinie proces nakłada na szkołę i teatr znaczniejsze obowiązki.

Uważam, że dzisiejsza młodzież jest mądra i wrażliwa. Jedynym problemem wydaje mi się jej stan zatwardzenia i wytwarzane stąd mechanizmy obronne, przybierające różnorodną postać. Sukces – jeżeli mogę ostrożnie stwierdzić – naszych egzaminów wstępnych polega na tym, że jeżeli nawet nie uda nam się wybrać najzdolniejszych, to na pewno przyjęci młodzi ludzie są bardzo wrażliwi.

Dziś młodzież ma zupełnie inną percepcję, zmienia się model wykształcenia: oni nie uczą się faktów czy pojęć, ale sposobów ich odnajdywania i kojarzenia. Dlatego ważne jest, abym swojego myślenia sprzed dwudziestu ośmiu lat nie przekładał na uczenie dzisiaj. Cały czas muszę dbać o własną elastyczność, zastanawiać się, czy nie wymagam od nich przyswojenia środków ekspresji, które obecnie są już martwe. Mam świadomość, że mogę wymagać tylko tego, co w naszym zawodzie niezmiennie niezbędne: prawdy, niekłamania.

Praca w Szkole to nieustające wyzwanie. Chciałbym, żeby studia w szkołach teatralnych były naprawdę wyższe, porównywalne ze studiami uniwersyteckimi. Aby młodzi ludzie, opuszczając uczelnię, nie byli skazani na chimery trudnego rynku. Powinniśmy uczyć ich antropologii, etyki, psychologii, historii i teorii kultury – po prostu wiedzy o człowieku. Nie jest istotne, żeby uczyć studentów grania – bo grania uczą się w trakcie zawodowych praktyk. Trzeba nauczyć ich myślenia o teatrze, mechanizmów jego funkcjonowania, nieustannego stawiania pytań.

KRZYSZTOF GLOBISZ

Między Noblistów

Uniwersytet Columbia (Columbia University – CU) w Nowym Jorku ma wśród swoich absolwentów kilkudziesięciu laureatów Nagrody Nobla, co, naturalnie, nie jest jedynym źródłem wysokiego prestiżu tej uczelni, ale na pewno jest argumentem na rzecz przekonania, że dobrze tam kształcą.

Niedawne zdarzenie odnoszące się do związków Polski z CU wpisuje się w toczoną na stronach *PAUzy* dyskusję o kondycji humanistyki w naszym kraju oraz wcześniejszą o pozabudżetowym finansowaniu wyższej edukacji.

25 marca 2009 odbyła się w Warszawie uroczystość zakończenia programu gromadzenia funduszy na kapitał żelazny (*endowment*), który pozwoli utworzyć Katedrę Polską na Uniwersytecie Columbia.

Wątek szczodrościowy: Akcję zbierania niezbędnych 3 milionów dolarów przeprowadziły Konsulat Generalny RP w Nowym Jorku oraz Fundacja na Rzecz Nauki Polskiej (FNP), która była gospodarzem warszawskiej uroczystości.

Pośród sponsorów-darczyńców są m.in.: Giełda Papierów Wartościowych, PGE Polska Grupa Energetyczna S.A., Katowicka Specjalna Strefa Ekonomiczna S.A. (a także inne SSE), Polsko-Słowiańska Unia Kredytowa w Nowym Jorku, ponadto anonimowi i indywidualni donatorzy. Myślę, że warto zwrócić uwagę na owe składki firm i organizacji dalekich – jak sądzimy – od humanistyki, i z przyczyn historycznych nie mających dłuższej tradycji wspierania nauki. Otóż wydaje się, że przynajmniej niektóre z nich świadomie nawiązują do takiej tradycji, zapoczątkowanej w epoce rozbiorów, kontynuowanej w Drugiej Rzeczypospolitej, a zerwanej i zapożyczanej programowo przez rządy komunistyczne. Ów „patriotyzm biznesu” zaczął się odradzać po r. 1989 za sprawą głównie trzeciego sektora. Trzeba tu powiedzieć, że działanie Konsulatu RP w Nowym Jorku, który zorganizował 103 spotkanie z potencjalnymi darczyńcami w Polsce, trafiło na zrozumienie sensu wspierania sfery kultury, a w niej nauki, przez gospodarkę i już rozbudzoną gotowość do takiej ofiarności.

Wątek humanistyczny: Katedra Polska w CU ma zainaugurować działalność w r. 2010. Przedtem zostanie rozstrzygnięty międzynarodowy konkurs na jej kierownika – *chairperson*. Ramowy program zapisuje badania i dydaktykę w zakresie nauk społecznych, politycznych i humanistycznych dotyczących Polski oraz regionu Europy Środkowo-Wschodniej.

Idea takiego właśnie programu, jak i sama tworzona dzisiaj placówka naukowa, ma korzenie w przeszłości. Od końca II wojny światowej trwa zainteresowanie Polską i współpraca (na ile była możliwa w epoce zimnowojennych podziałów świata) polskich uczonych z CU. Od 1948 r., przez kilka lat lektorat historii i literatury polskiej prowadził wybitny literaturoznawca prof. Manfred Kridl, rekomendowany do tego przez Czesława Miłosza, wówczas dyplomatę PRL. W 1954 r. powstało na nowojorskim uniwersytecie pierwsze w Stanach Zjednoczonych Centrum Europy Środkowo-Wschodniej, nastawione głównie na sowietologię.

Po upadku komunizmu w naszym regionie utworzono tam katedry: ukraińską, węgierską, serbską, czeską, słowacką i lektorat języka rumuńskiego (finansowany przez rząd Rumunii). W 2003 r. Fundacja Kościuszkowska wystąpiła do FNP z propozycją, by ta wsparła inicjatywę utworzenia Katedry Studiów Polskich na Wydziale Spraw Publicznych i Międzynarodowych CU. W 2005 r. FNP przekazała uniwersytetowi kwotę \$ 250 000 – pierwszą wpłatę na fundusz żelazny, który poczęto gromadzić.

Jesienią 2007 r. miałam sposobność uczestniczyć w zorganizowanej przez FNP, z udziałem przedstawicieli władz państwowych i mediów, konferencji poświęconej działalności placówek prowadzących studia polskie, najogólniej mówiąc, w kilku krajach. Mówiono o tym, co o polskiej historii i kulturze pragną wiedzieć cudzoziemscy studenci i o tym, na czym nam zależy, żeby wiedzieli. Była to debata o polskiej humanistyce „na wynos”, ale o humanistyce akademickiej, nie „cepeliowskiej”, o rzeczywistej obecności idei zrodzonych nad Wisłą w głównym nurcie rozwoju kultury i w centrum cywilizacyjnego dyskursu, o wzoro-twórczej roli zdarzeń z naszej najnowszej historii, mitach osobowych i o stereotypach przeszkadzających nam uczestniczyć w różnych międzynarodowych dialogach, a innym ich uczestnikom widzieć Polskę z jej aktualną rzeczywistością.

W wypowiedziach uczestników tamtego spotkania były wyraźne wskazania rozmaitych wariantów potrzeby upowszechnienia wiedzy akademickiej tak, aby społecznej ciekawości Polski w takich krajach jak Niemcy czy USA nie zaspokajały tylko media, z natury powierzchowne i doraźnie informacyjne. Można mieć nadzieję, że Katedra Polska w CU zaspokoi te potrzeby na wysokim poziomie, a że będzie miała uprawnienie nadawania stopnia doktora, może podjąć i to niemniej ważne zadanie, jakim jest wykształcenie kadry dla innych tego typu placówek. Słuchaczy będzie rekrutować z całego świata, a wiadomo, że chętnych nie zabraknie.

Od momentu uruchomienia konkursu na stanowisko kierownika Katedry Polskiej staje się ona integralną częścią Uniwersytetu Columbia. I można – jak myślę – pofolgować odrobinę snobistycznym ambicjom, jakie ten fakt zaspokaja. Problemy naszej historii i naszej współczesności znajdują się w programie kształcenia jednej z najlepszych amerykańskich uczelni, co w naturalny sposób będzie wymuszało, by w ofercie nie umieszczać spraw błahych, drugorzędnych, partykularnych, ale te główne – tematy angażujące wiele pierwszoplanowych umysłów.

CU jest zarazem środowiskiem opiniotwórczym, zdaniem wielu najbardziej opiniotwórczym w Stanach Zjednoczonych. Stamtąd często wychodzą idee podejmowane w polityce międzynarodowej, a kończą ten uniwersytet najlepsi potem amerykańscy dziennikarze, gruntując dobrą opinię tamtejszej szkoły medialnej.

Obecność polskiej humanistyki – wolno tak określić obszar badań i kształcenia powstającej katedry – w takim miejscu będzie wpływać na obraz Polski i Polaków w społeczności, najpierw akademickiej, ale z czasem szerszej i nie tylko w Stanach Zjednoczonych, gdyż absolwenci CU rozchodzą się po całym świecie i są chętnie zatrudniani w ważnych instytucjach wielu krajów.

Myślę, że rozważając los humanistyki w Polsce warto wziąć pod uwagę ten otwierający się nowy horyzont – nie dla powierzchownej konsolacji, ale aby skierować wysiłki na skorzystanie z tej szansy, choćby najzupełniej praktycznie przez bliską współpracę kraju z placówką w Ameryce. Jest to także niebagatelny argument za wspieraniem humanistyki (tu i teraz), a przeciwko ślepej fascynacji samymi technologiami.

MAGDALENA BAJER

PAUza Akademicka zaprasza do współpracy.

Oczekujemy na artykuły do 4 500 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.

Artykuły, listy i komentarze prosimy nadsyłać na adres: pauza@pau.krakow.pl